ŁOWIEC POLSKI



Sokół wędrowny na gnieździe. Copyright Bengt Berg.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 11. (566) 15 MARCA 1930 R.



Para łabędzi zab. 23.II r. b. koło wsi Toczyłowa pod Grajewem przez p. M. Pawluka. Fot. M. Pawluk.

KSIĄŻKA BENGT BERGA.

Są książki, których obraz zostaje w pamięci, które nie kończą się z przewróceniem ostatniej kartki, do których wraca człowiek, jak po wytchnienie, jak po radość, czasem, aby sił z nich zaczerpnąć, a czasem znowu, aby się móc w nich, jak kiedyś, zapomnieć, jeśli rzeczywistość ciężarem na sercu zalegla i nazbyt męczy.

Często — nie zawsze — tematem ich, tłem czy treścią samą, bywa przyroda, o której wszak mówią, że jest wielką koicielką dusz, że jest odpoczynkiem, a nieraz odrodzeniem, bo się w niej wszystkie siły, wszystka istota życia zawiera.

Nie szukając innego przejścia, powiedzmy odrazu, że cykl książek Bengt Berga, cykl nieznany dotąd bliżej polskiemu czytelnikowi, można słusznie i najsprawiedliwiej włączyć między te dzieła, które odradzają, które przesycone są mocą otwierania oczu ludzkich na niedostępne napozór, a w rzeczy samej proste i cudowne sprawy życia.

Jedna jest podstawa ich powstania, a zarazem najsilniejszy ich argument, który nawet sceptyków zachwyci a obojętnych zapalić gotów — fotografja!

To też każda książka Bengt Berga mówi swoją częścią ilustracyjną, zanim ją jeszcze przeczytamy; przykuwa nią, zachęca, przymusza do wniknięcia w treść.

Jest wartością w literackiem znaczeniu i jest dokumentem, ceny i wagi niezwykłej, z punktu widzenia naukowo - przyrodniczego. Fotografje zastępują w niej zbyteczne opisy, tekst daje tło i układ ilustracjom, całość zastanawia umiarem, zniewala bystrością, zachwyca podejściami łatwemi do tych tajemnic, których głębia jest celem poszukiwań myśliwego, przyrodnika, poety...

Dotarcie do nich jest u Bengt Berga wynikiem nie zamiłowań naukowca czy fotografa, ale owocem wielkiego uczucia, wielkiej miłości do zwierza krzywdzonego przez ludzi, niszczonego bezmyślnie i niepotrzebnie, jest rezultatem rosnącego z latami poszanowania jego życia, skazanego w całym swym przepychu na zagładę, na zatracenie, dzięki lekkomyślności tych wielu, którzy stykając się z przyrodą czy to przez łowiectwo, czy poprostu zawodowo, jako rolnicy i leśnicy, krzywdę niepowetowaną czynią, bądź z braku zastanowienia, bądź też wskutek niedostatecznego uświadomienia, bo o złą wolę trudno jednostki posądzać. (Oczywiście, że z powyższem ściśle jest związany problem ustaw, których nie dość przewidującej formie, oraz pobłażliwemu stosowaniu niejednokrotnie przypisać wypadło wykreślenie takiego czy innego gatunku fauny albo flory z listy żyjących).

* * *

Wystarczającem wprowadzeniem w dzieło Bengt Berga będzie, zdaniem mojem, omówienie choćby jednej tylko z jego książek. I dlatego poświęcę ni-

niejszy artykuł ostatnio wydanej „Niezwykłej Wyspie“ *).

Książka, niczem bibljofilskie cacko (w wydaniu niemieckiem), pozostawia, jeśli o wyraz jej wewnętrzny chodzi, obraz równie surowy jak przyroda północy, jak skały tejże wyspy, gdy się fale wściekłe o nią tłuką, a zarazem bogaty przepychem północnej wiosny, goręcej przeżywanej i stąd piękniejszej może, mimo pozornie wystudzonych długą zimą, serc.

Niezwykła wyspa! Cóż jest jej czarem, cóż stanowi o jej niezwykłości? Ptaki! Tysiące, chmury całe, które przyciągają z wiosną, które nieomylnie wracają na gody miłosne, na lęgi, ku tej jednej kamiennej wyspie wśród fal Bałtyku u samego gotlandzkiego wybrzeża. Ptaki, które podpatrzył, żyjąc wśród nich, prawie cały rok, które poznał zbliska, cierpliwy, jak zawsze, jak zawsze w zamierzeniach zwycięski szwed, Bengt Berg!

Dwie są wyspy, o których pisze, przedzielone wąską otchłanią głębin. Z daleka wyglądają pusto, złowrogo, skałami spiętrzone groźnie. W rzeczywistości kipią życiem, mnogością szkrzydlich trzepotów, oddychają olbrzymiemi stadami ptactwa przylotnego, które w szczelinach, nad przepaściami w zboczach stromych gnieździ się niezliczone, rozmaite, a bezpieczne — na swojem. Biesiadują na rozległem morzu, które wokół wysp gęsto posiane jest ich stadami.

Lud na niedalekiem wybrzeżu gotlandzkiem boi się ich, zawsze obcych, niedostępnych, dzikich, nienawidzi lęku, jaki się wokół nich wśród legend i opowieści narodził, a przecież pożąda ich nieznanego czaru, tęskni i myślą szuka tajemnic, jakie — być może — w stromych wzgórzach się zawarły, i jakie — któż sprawdzi? — wpływ chyba mają na to, że się ptactwo ku nim garnie tłumem skrzydlatym. Chodzą słuchy, że u stóp wysp obu, w morzu skarby zatopione drzemią.

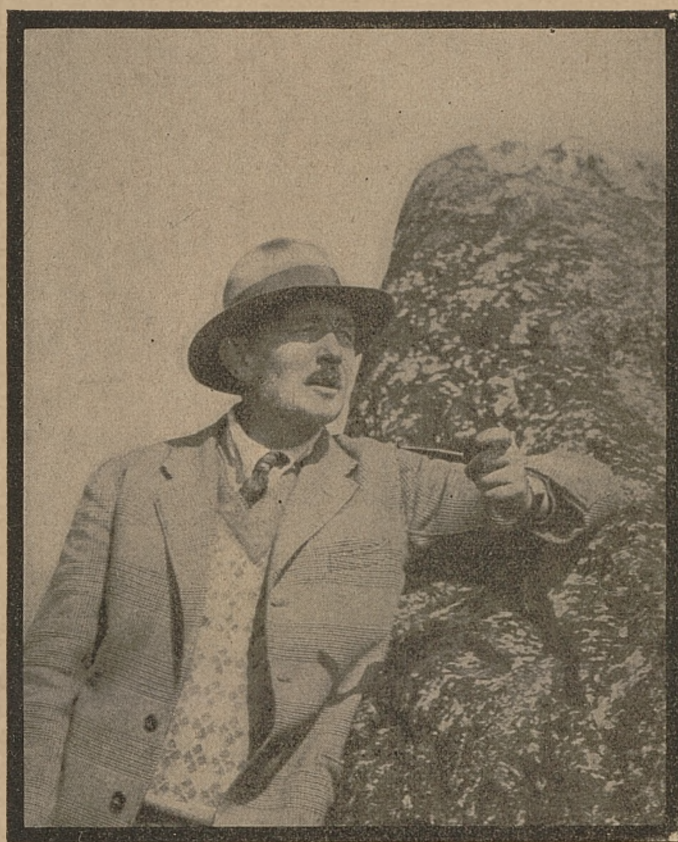
Przygotowuje czytelnika Bengt Berg obrazami otoczenia wyspy, mówi długo o jej atmosferze, obcej napozór człowiekowi, nieprzystępnej, północnej, aby ją tem jaskrawiej przeciwstawić życiu i radości tych godzin i dni, jakie dała wtajemniczonemu, gdy już wniknął w jej najskrytsze sprawy.

Trudno w kolejności iść śladem Bengt Berga, trudno streszczać jego obrazy, dzieje zdobycia cudownych zdjęć, dzieje trudu i wyczekiwań, nagradzanych nieraz po królewsku ;narzuca się chęć tłumaczenia dosłownego całych rozdziałów, jak ta wyspa, niezwykłych, jak życie ptaków jej, niezwykle pięknych.

Oby myśliwych móc zbliżyć do jego książek! Powinny być czytane, bo zawierają prawdę, jakiej nic nie da, okrom chyba samotnej wyprawy w poszukiwaniu dalekiego człowiekowi życia, wyprawy takiej, jaką on sobie za cel postawił, jakiej wynikami zadziwia, w rzędzie wyznawców swoich stawiając tych nawet, którzy obojętnie dotąd przechodzili koło skarbów żywej przyrody.

Niezwykła wyspa to raj mew i kaczek, alk i nurów, to gniazdo sokoła wędrownego i przystań ptactwa, lecącego dalej, na północ. W ujęciu przypomina płótna współrodaka Bengt Berga, płótna Liljenforsa. Kto je zna, ten wie, ile się mieści potęgi, ile w nich barw i tonów nieprzeczuwanych, ile zrozumienia i prawdy w odczuciu zawiera każde dzieło tego największego malarza przyrody północnej.

Więcej niż słowa wszelkie, powiedzą niewątpliwie przytoczone zdjęcia *), wszakże pragnę poniżej przedstawić kilka chwytów autora „Ostatnich Orłów“, „Tookern, jeziora dzikich łabędzi“, albo „Niezwykłej Wyspy“, powiem o kilku jego charakterystycznych spojrzeniach na zwierzęta i uwagach na temat stosunku człowieka do nich.



Bengt Berg.

Ale zacznę od niego samego, który się porwał z motyką na słońce i, o dziwo, słońce zwyciężył, tajemnicę gniazd ptaszych pokazał, drogami ich latał (o mało się przytem nie zabił, gdy fotografując z samolotu orły, runął wskutek defektu motoru, razem z aparatem, w morze). Nie cofa się przed żadną przeszkodą, wszystkimi technicznymi środkami dysponuje, jakie mu **jego ojczyzna** usłużnie, co więcej, ze **zrozumieniem wagi jego poczynań, stawiła do dyspozycji.**

Zaczął — jakże by inaczej — od myślistwa. Przez nie zbliżył się, przez nie pokochał świat zwierzęcy. Jako chłopak młody, mówi o tem, na morze się wykradał nocami, aby na ciągu kaczek edredonowych, idących na północ, polować. Jakże jest wspaniały opis tego ciągu przed świtem, kiedy przygnieceni potęgą świszczących kluczy kaczych, dwaj młodzi chłopcy, ukryci na dnie łodzi, zapomnieli o strzelbach, wpatrzywszy się w długie łańcuchy, gdy z morza samego wstawały, które się aż po rozkołysany widnokrąg fal słało przed nimi.

*) Bengt Berg: Niezwykła wyspa (Die seltsame Insel). Wydawnictwo Dietricha Reimera w Berlinie.

*) Przesłane dla artykułu o Bengt Bergu w „Łowcu Polskim“ przez wydawnictwo Dietricha Reimera.

Czasem w ciemność wód zapadły, aby znów powstać i już lecieć świstem prosto na nich, rosnące, niewstrzymanym wojskom podobne...

Przejdźmy w inny obraz, po wielu latach — na niezwykłej wyspie. Kaczka edredonowa gniazdo uwiła pod schodami domu, w którym Berg mieszka nad morzem. Siedzi na niem cicha, ufna, nie płosząc się dudniącymi po schodach krokami. Któregoś dnia, gdy już zdawało się Bergowi, że dostatecznie się z ludźmi oswoiła, nachylił się ku niej i począł ją głaskać po aksamitnym grzbiecie. Spojrzała na niego niespokojna, zagdakała i poczęła dziobem bić go po ręku. Ale później już się nie broniła. Zrozumiała — pisze Bengt Berg — że jej nie skrzywdzę, że ją tylko podziwiam. Siadałem, bywało, o zmierzchu na schodach i zapaliwszy fajkę, rozmawiałem z nią, nazywając ją moją kochaną kaczuszką...

Łagodność, spokój, zrównoważenie, przemienia się chwilami w ostry, a jakże słuszny atak na winowajców zniszczenia, jakie niedbalstwo, nieuctwo a często tolerancja, posunięta do karygodnych granic, niesie w jego świat umiłowany.

Echo tego oburzenia przeniknąć winno wszystkich, którzy w świat ten ze strzelbą wchodzą. W „Ostatnich Orłach" dostało się rządowi szwedzkiemu za dopuszczenie do wyginięcia orłów, królewskich ptaków, coraz mniej licznych, których niedobitki jeszcze się ciągle prześladuje, jeszcze strzela przy każdej okazji *). Książka Bengt Berga o orłach jest najsilniejszym argumentem **za absolutną ochroną** wszystkich gatunków, a zwłaszcza gniazd, **wielkich naszych drapieżników skrzydlatych, od orłów poczynając, a kończąc na sokole wędrownym,** których ubite okazy dzisiaj już przestały być trofeami zaszczytnemi, jak niemi nigdy nie były trofea ostatnich żubrów!



„Latający pingwin" — nur czarnoszyi z niezwykłej wyspy.
Copyright Bengt Berg.

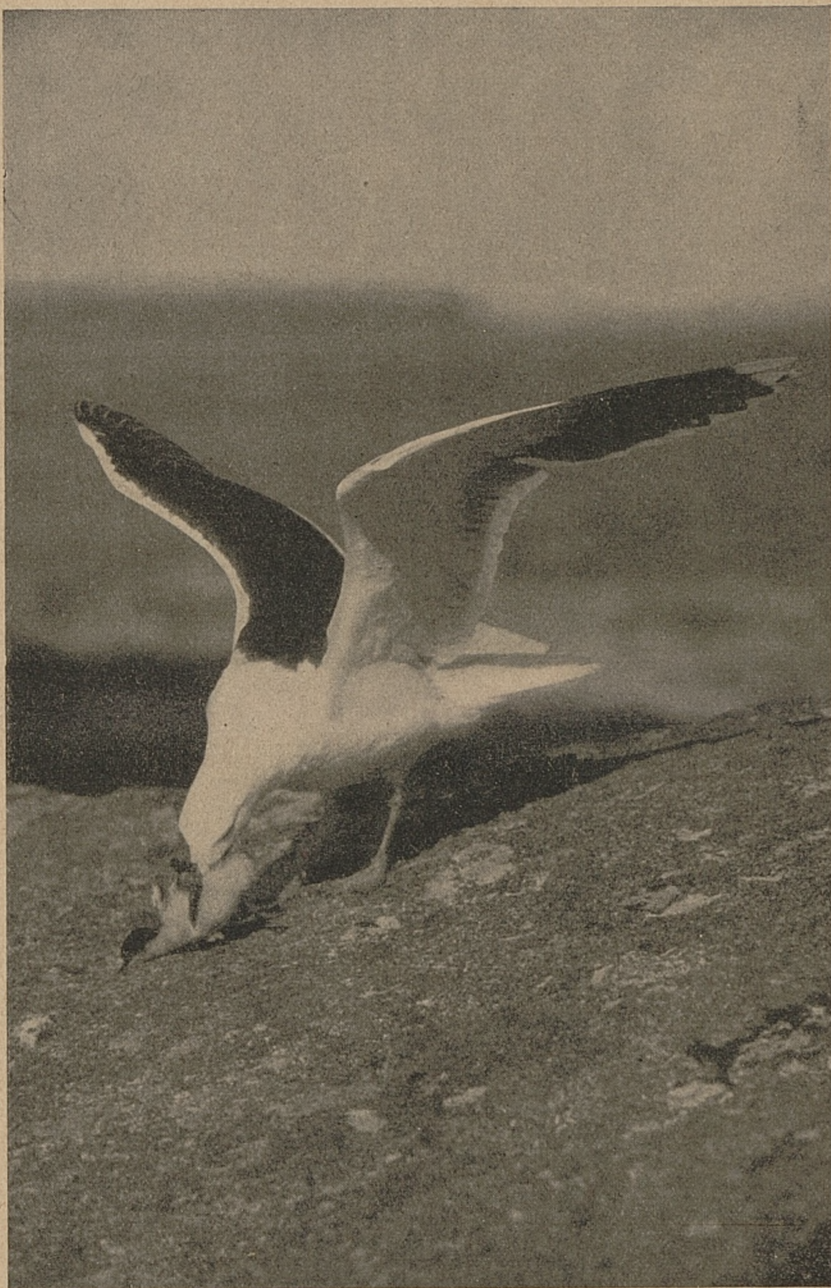
*) Vide np.: „Świat" Nr. z dn. 18.I.30, gdzie pod tytułem „Świetny strzał" (!) podano wiadomość o ukazaniu się orła górskiego w lasach Minia-Piaseczno, który następnie ubity został na zwyczajnem polowaniu z naganką w lesie włościańskim wsi Swoboda, pow. Mińsko-Mazowiecki.

Jakże nazwać ten niezwykły system, że państwo i prawa dopiero wówczas zaczynają troszczyć się o ochronę danego gatunku, gdy już zazwyczaj jest zapóźno?

Nie utrzymamy, być może, skarżył się Bengt Berg **) skalnego orła. Z własnej, ogólnej winy oczywiście, bo nie wystarczy, żeby się w jednem państwie znalazły prawa ochronne, skoro w wędrówkach swych ptak królewski nie trzyma się przez ludzi stanowionych granic. Ale wyroku potomności ten fakt

traczy i kaczek rozmaitych, jest nur czarnoszyi, „najdroższy z żywych klejnotów wyspy".

Uratowano go poprostu od zupełnej zagłady w r. 1880. Znalazł się dobroczyńca, który kupił wyspę i zapewnił ptactwu na niej mieszkającemu, spokój zupełny. Bo dawniej, kto tylko chciał, ten sobie jeździł na nią do ptaków postrzelać. Gdy wyspę zakupiono, było na niej nurów czarnoszyich ledwie dwadzieścia sztuk. Gdyby tępienie ich trwało wówczas jeszcze kilka miesięcy, fauna Szwecji — pisze



Mewa siodłata porywa pisklę tracza. Copyright Bengt Berg.

nie złagodzi. Cóż my dzisiaj sądzimy o ludziach tego okresu, w którym w Szwecji doszczętnie tępiono bobra?

Tymczasem wróćmy do niezwykłej wyspy. Jednym z jej licznych obecnie mieszkańców, obok drapieżnych mew siodłatych, srebrzystych i innych, obok

) Przypomnijmy, że w niespełna rok po ukazaniu się „Ostatnich Orłów" Bengt Berga, **jako wyraźny skutek tej książki, orły osobnem rozporządzeniem zostały uznane w Szwecji za nietykalne pomniki żywej przyrody!...

Berg — byłaby od lat wielu uboższa o jeden gatunek. Dziś są ich koło wyspy nieprzeliczone tysiące. Nic dobitniej nie wykazuje, jak ogromny może być wpływ człowieka, tak w dodatniem, jak i ujemnem znaczeniu, na życie przyrody. A przecież pomyśleć, że są jeszcze w Europie kraje, gdzie się w sidła chwyta ptaki przelotne, dziesiątkami tysięcy je niszcząc, gdy gdzieindziej ochronę im zapewniono, gdy gdzieindziej wybrzeże morskie, ze względu na nie, wolne jest od myśliwych (art. 44 naszej ustawy łowieckiej).

Do was wszystkich się zwracam o pomoc, — woła Berg. — Najdroższe skarby, jakie świat nasz zwierzęcy zawiera, giną tak w tym roku, jak i w każdym innym, który mija, podczas gdy komitety ochrony przyrody gadają i obradują. Musimy mieć takie prawa, któreby cenne i rzadkie gatunki chroniły dla nich samych, a nie na to, abyśmy potem mieli więcej do strzelania i do jedzenia.

Wołanie Bengt Berga w Szwecji nie było wołaniem na puszczy. Przynosi to największy zaszczyt jej władzom!

* * *

Coraz ściślej, coraz dokładniej wnikamy za autorem w życie niezwykłej wyspy. Alki ją zamieszkują tłumem. Dla nas, ludzi, którzyśmy przywykli, że zwierzyna każda od nas ucieka, nieufnością nas darzy, nieufnością zrozumiałą i zasłużoną, alki w szczelinach skalnych są zjawiskiem nowem i niecodziennem. I właśnie silne przeciwieństwo między tem beztroskiem zaufaniem alk, a podejrzliwością innych gatunków, mimowoli wzbudza w nas pytanie, czy rzeczywiście tysiące gatunków z pokolenia na pokolenie musiały zmieniać swoją istotę, musiały wykształcić w sobie nowy instynkt, instynkt trwogi przed człowiekiem, naszem postępowaniem do tego zmuszone?

* * *

Jest wreszcie końcowy ustęp „Niezwykłej Wyspy", poświęcony najszlacheniejszemu drapieżnikowi — sokołowi wędrownemu, który się gnieździ na stromem, niedostępnem zboczu skał nad morzem.

Dotarł ku niemu Bengt Berg w koszu balona, kazał się na linach opuścić w przepaść na wysokość sokolego gniazla. I zajrzał w jego życie...

Podam tutaj, bez wstępnych komentarzy, fragment kończący książkę Bengt Berga, fragment, który uczy, który mówi sam za dzieło wielkiego przyrodnika i najszlachetniejszego myśliwego.

„Niegdyś, kiedym go ujrzał, i dziś — zawsze będzie mi się przypominał tamten sokół, tak, jak pamięć o nim wróciła do mojego ukrycia przy gnieździe, w ów słoneczny dzień. Pierś jego śnieżna o różowym odcieniu i moręgich pręgach, krwią była zbroczona. Lotki, które go może niosły po wszystkich częściach świata, złamane były śrutem z mojej strzelby. Gibkie, szlachetne szpony zwisały bezwładnie, a z oczu patrzała bezmyślna pustka śmierci. Wiem, że wówczas, i nieraz jeszcze później, odczułem to, co dzieci wasze może będą umiały zrozumieć — nagłe pragnienie, by odrzucić strzelbę i przekląć ludzi z ich wrodzoną zuchwałością gaszenia żywotów, których sens wyższy był, niż, aby nam krwawiącem ciałem za zdobycz służyły..."

Na tem kończąc, niech mi wolno będzie powiedzieć, iż fakt, że słowa powyższe miejsce znajdują na łamach polskiego pisma łowieckiego, aby z nich, jak ziarno najlepsze, zapaść w dusze myśliwych, świadczy o tej wielkiej i doniosłej roli, jaką zorganizowane i pod czujną opieką władz żyjące łowiectwo spełnić może (i u nas już spełnia) tam wszędzie, gdzie zagrożono nieopatrznem postępowaniem los gatunku, gdzie pomocy potrzebuje pokrzywdzone, prześladowane zwierzę.

Wołanie Bengt Berga, zawarte jak jeden krzyk wspaniały, piękny i tragiczny, w każdej z jego książek, nie pozostanie bez echa w kraju, w którym hasła szlachetne zawsze oddźwięk potrafiły znaleźć i serca zapalić.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



KŁUSOWNICTWO NA GRANICY PAŃSTW W KARPATACH

ZE SZCZEGÓLNEM UWZGLĘDNIENIEM TATR.

Referat ten został wygłoszony w Krakowie w dniu 13 grudnia 1929 r. Mianowicie w dniach 13 i 14 grudnia 1929 r. odbył się w Krakowie „Naukowy zjazd przedstawicieli Czechosłowacji, Rumunji i Polski, w sprawach ochrony przyrody oraz Parków Narodowych, położonych na granicy państw". Wnioski, zgłoszone przez autora w zakończeniu referatu, zostały przez zjazd jednomyślnie przyjęte.

Jakkolwiek tematem mego referatu ma być kłusownictwo w Tatrach i rozważenie sprawy walki z niem, to sądzę jednak, że właściwem będzie, jeśli omówię tutaj całość zagadnień, związanych z bytowaniem zwierzyny łownej na terenie przyszłego Parku Narodowego w Tatrach. Da nam to pełniejszy

obraz gospodarki łowieckiej w górach, i niewątpliwie łatwiej pozwoli uzgodnić w dyskusji szereg zagadnień i wyjaśnić dużo niedomagań, które na realizację idei ochrony przyrody w górach wpływają tamująco.

Nie będę się naturalnie wdawał w szczegóły. Poprzestanę na rozpatrzeniu w najbardziej ogólnych zarysach tych postulatów, które, zdaniem mojem, powinny być zrealizowane. Na razie chodzi wszak o zagajenie dyskusji, w rezultacie której zapewne uda nam się uchwalić pewne wnioski i wzajemne zobowiązania.

Przedewszystkiem więc wypadnie się nam zastanowić nad naturalnymi warunkami bytowania zwierzyny w Tatrach. Otóż na tych warunkach bytowania, piętno bardzo silne wycisnął człowiek. Zmienił na to przecie jest Park Narodowy, by go najwięcej ludzi zwiedzało.

Otóż, to wtargnięcie człowieka do Tatr, ograniczyło tereny, na których zwierzyna może przebywać i zdobywać pożywienie, do minimum. Sądzę nawet, że jeślibyśmy potrafili usunąć plagę kłusownictwa zupełnie, lecz pozatem pozostawili zwierzynę w Tatrach jej własnemu losowi, to jednak ilość jej nie powiększyłaby się zbyt znacznie. Chcąc mieć w Tatrach liczne kozice, świstaki, jelenie, sarny, chcąc, by niedźwiedź nie był mytem, o którego każdym widzialnym tropie rozprawia się całymi tygodniami, trzeba tej zwierzynie dać pewną rekompensatę za wyrządzone i wyrządzane jej krzywdy. Innemi słowy, hodowla zwierzyny w Tatrach musi istnieć. Niejeden



Z Tatr. Kozica. Fot. A. Krzeptowski.

on pierwotne warunki, starając się przystosować je do swoich potrzeb, a że potrzeby te w wielu razach pokrywały się z potrzebami dzikiego zwierza, wynikła walka, której rezultat w podobnych razach zawsze jest wiadomy.

Otóż, ten wpływ człowieka, na razie przynajmniej, jest nie do usunięcia. Gdybyśmy wyeliminowali z Tatr pasterstwo, turystykę i eksploatację lasu, odrazu stworzylibyśmy warunki idealne. Wtenczas hodowla zwierzyny mogłaby być doprowadzona do minimum. Być może, po krótkim czasie możnaby ją zredukować jedynie do ochrony zwierząt przed kłusownictwem. Na razie jednak żaden z tych trzech czynników wyeliminować się nie da, a co do turystystyki, to naturalnie, będzie ona istniała zawsze, boć przyrodnik się na to żachnie. Jakto, w Parku Narodowym, gdzie zwierzęta mają żyć w warunkach naturalnych dziewiczej przyrody, ma istnieć hodowla zwierzyny. Przyznaję, że ja sam w tezie tej wyczuwam doskonale fałszywą nutę, niemniej jednak muszę jej bronić, gdyż innej rady w obecnym stanie rzeczy nie widzę. Nie możemy się łudzić, żeby zwierzęta w Tatrach żyły w naturalnych warunkach dziewiczej przyrody, bo tej dziewiczej przyrody w Tatrach niema. Naruszyliśmy tu równowagę w stosunkach pierwotnych i teraz musimy ponosić konsekwencje tego. Zresztą, jeśli jest dopuszczalna w tym naszym Parku Natury, gospodarka leśna, to może istnieć i łowiecka.

Nie łudźmy się, że zbyt łatwo dojdzie do tego, żeby nad szczytami Tatr na nowo pławiły się liczne

orły, bo te orły samym widokiem turni, hal i lasów nie wyżyją. One muszą coś jeść, a jeść tu nie mają co, a jeśli mają, to tak niewiele, że nieliczne tylko ich osobniki mogą się utrzymać. Kozica na szereg miesięcy ma do hal zamknięty wstęp. Sarna i jeleń nie mają się czem żywić. Niedźwiedź nie znajduje pokarmu, ani kąta, w którym mógłby przebywać spokojnie.

Gdy rozmnożymy świstaki, zające i sarny, to orzeł będzie miał z czego brać haracz. Gdy z licznych sztuk grubej zwierzyny padnie co roku pewna ilość naturalną śmiercią, to tenże orzeł znajdzie łatwy pokarm i być może na nowo zagnieździ się w Tatrach sęp. Przy licznych sarnach zatrzyma się i ryś i tak jak obecnie jest rzadki, tak trzeba się będzie może martwić, że jest go zbyt wiele. Gdy zapewnimy niedźwiedziowi odpowiednią ilość karmy i względny przynajmniej spokój, ilość jego szybko zacznie się zwiększać.

Tak więc, pierwszym postulatem, który należy obserwować w stosunku do zwierzyny w Tatrach, jest jej podkarmianie. Odbywa się ono i obecnie w rewirach myśliwskich, należących do Fundacji Kórnickiej i księcia Hohenlohego.

Nie jest jednak rzeczą obojętną, w jaki sposób ma się odbywać to podkarmianie, i czem należy zwierzynę karmić.

Jeśli ideałem naszym jest utrzymanie zwierzyny w Tatrach w warunkach jej możliwie pierwotnego bytowania, i jeśli ideału tego osiągnąć nie możemy, to jednak wszędzie, na każdym kroku, winniśmy możliwie jaknajmniej od warunków tego bytowania odstępować.

Nie jest mojem zdaniem, dobrem, jeśli podkarmianie zwierzyny odbywa się w niewielu punktach, tak, jak to jest obecnie stosowane w rewirach Jaworzyny. Zapewne, ma ten sposób swoje zalety. Po pierwsze, łatwość dowozu i zadawania karmy, po drugie, łatwość kontroli i obliczania zwierzyny, po trzecie, łatwość jej ochrony przed kłusownictwem. Niemniej jednak, dla przyrodnika, myśliwego i dla każdego miłośnika przyrody wogóle, nie jest to widok specjalnie miły, gdy np. o określonej godzinie, jak w jakimś pensjonacie goście na kolację, ciągną do karmników jelenie, i gdy widać ich odrazu w jednem miejscu po sto kilkadziesiąt sztuk, podczas gdy w najbliższem sąsiedztwie, całymi tygodniami można nie spotkać ani jednego. Jelenie bowiem, w czasie, gdy się je karmi, trzymają się prawie wyłącznie w sąsiedztwie karmników. Nawiasem dodam, że zapewne nie wpływa to dodatnio na ich zdrowotność. Z drugiej znów strony, skupianie większej ilości zwierzyny na małej przestrzeni, powoduje zniszczenie tam roślinności.

Dlatego też karmniki, czyli, jak się je tutaj w Tatrach nazywa, tryzuby, winny być zakładane w możliwie jaknajwiększej ilości i rozproszone na znacznej przestrzeni, tak, by i zwierzyna, którą się podkarmia, była na całej przestrzeni Tatr rozproszona. Tak właśnie karmi się zwierzynę w rewirach Fundacji Kórnickiej, i daje to zupełnie dobre rezultaty.

To wszystko, co powiedziałem, dotyczy jeleni i sarn, a o ile chodzi o dobra Jaworzyna, to i koziorożców. Kozica tatrzańska podkarmiania nie wymaga, a nawet wogóle zadawanej jej karmy nie bierze.

Z kolei wypadnie się zastanowić, czem należy podkarmiać jelenie i sarny? W dzisiejszych gospodarstwach łowieckich, jak wiadomo, stosuje się z rozmaitymi rezultatami karmę dość różnorodną. Karmienie zwierzyny wielokrotnie odbywa się na tych samych zasadach, co karmienie bydła domowego. Otóż, tego typu karmienia w Tatrach, jak wogóle w parkach narodowych, w żadnym razie stosować się nie powinno.. Jeśli zasada pozostawienia zwierzyny w warunkach bytowania naturalnego nie może być stosowana, to w każdym razie powinno się karmić zwierzynę tą karmą, którą ona tutaj, w warunkach przez człowieka niezmienionych, powinnaby była znaleźć.

A więc suszony maliniak i siano zbierane na halach i łąkach górskich. Ponadto nic. Niestety, o ile chodzi o polskie Tatry, to obecnie siana takiego w dostatecznej ilości nie posiadamy. Wobec tego, karmimy koniczyną, którą zwierzyna je bardzo chętnie.



Z Tatr. Kozica. Fot. A. Krzeptowski.

Należy też rozstrzygnąć zagadnienie, czy należy podkarmiać niedźwiedzie, i w jakim stopniu. Otóż jestem zdania, że z tych samych względów, z jakich podkarmia się inną zwierzynę w Tatrach, należy podkarmiać i niedźwiedzie, a mianowicie, przez rzucanie im padliny. Naturalnie, nie należy urządzać w Tatrach jatek, przez wyprowadzanie koni stale do tych samych miejsc. Konie winny być rzucane w rozmaitych miejscach, na szlakach niedźwiedzi. Mięso końskie stanie się jednocześnie karmą dla lisów, orłów i niedźwiedzi.

Zakładanie poletek dla zwierzyny w obrębie Tatr nie powinno mieć miejsca. Ostatecznie można się zgodzić na zakładanie takowych tuż za granicami parku. W samym parku natomiast powinno się kultywować możliwie dużo autochtonicznych drzew liściastych, a przedewszystkiem jarzębiny i osiki, stanowiących zdrową, naturalną karmę dla zwierzyny.

Zarówno hodowla zwierzyny, jak i walka z kłusownictwem, aż do zupełnego zlikwidowania go, możliwe będą w Tatrach o tyle tylko, o ile cały teren Tatr i tereny bezpośrednio sąsiadujące z Parkiem Narodowym, stanowić będą jeden rewir łowiecki.

Naturalnie, rewir ten, z natury rzeczy, rozpadnie się na dwie części: czechosłowacką i polską.

Obecnie dalecy jesteśmy od zrealizowania tego postulatu. Zaznaczyć jednak trzeba, że w Polsce zrobiliśmy dość dużo w tym zakresie. Mianowicie, począwszy od Kominów Tylkowych, w kierunku zachodnim, aż po Białkę, czyli po granicę państwową, Tatry stanowią jeden rewir łowiecki, będący bądź to własnością, bądź dzierżawą Fundacji Kórnickiej. Niestety, dużą enklawę w tym rewirze stanowią lasy pp. Uznańskich, w których polowania nie udało się wydzierżawić. W lasach tych gospodarka łowiecka prowadzona jest w sposób fatalny, a raczej wcale nie jest prowadzona.

W celu utworzenia jednego rewiru łowieckiego w Tatrach polskich, wypadałoby dołączyć tylko w zachodnich Tatrach tereny Siedmiu Gmin, oraz tereny, będące obecnie własnością pp. Uznańskich. Wówczas cały obszar Parku Narodowego w polskich Tatrach znalazłby się w ręku (mówię tu naturalnie o dzierżawie) Fundacji Kórnickiej, która daje całkowitą gwarancję takiej gospodarki łowieckiej, jaka ze względu na ochronę przyrody jest pożądana.

Naturalnie, w przyszłej ustawie o parku narodowym w Tatrach winno być zastrzeżenie, gwarantujące dzierżawę rewirów łowieckich w Tatrach do rozporządzenia Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Gdyby na przyszłość Fundacja Kórnicka nie chciała nadal prowadzić gospodarki łowieckiej w myśl postulatów Państwowej Rady Ochrony Przyrody, to ta gospodarka mogłaby przejść wówczas w inne, zaufane ręce, względnie mogłaby być prowadzona we własnym zakresie przez przyszłego dyrektora Parku Narodowego.

Co się tyczy Czecho-Słowacji, to tam stosunki z jednej strony poprawiają się na lepsze, przez wykupywanie ziemi przez rząd, z drugiej strony jednak ulegają pogorszeniu. O ile moje wiadomości nie są błędne, to rewir łowiecki w okolicach Zielonego Stawu Kiezmarskiego nie jest już dzierżawiony przez dobra Jaworzyna. Da to bez wątpienia rezultaty fatalne, a po części już dało, gdyż w tym roku został tam zabity jeden niedźwiedź.

Zkolei należy się zastanowić nad sprawą odstrzału. Jeśli na tak wielkich obszarach, jakie obejmuje Yellowstone Park, niemożliwa jest hodowla zwierzyny bez prowadzenia odstrzału, to tembardziej nie jest to możliwe na tak małym obszarze, jak Tatry.

Odstrzał ten w tych częściach Tatr, które na razie posiadają małą ilość zwierzyny, nawet i obecnie musi być dokonywany, a w miarę poprawiania się zwierzostanu, musi odpowiednio wzrastać. Inaczej, z jednej strony może grozić degenerowanie zwierzyny płowej, a później i kozic, z drugiej zaś, jeśli ilość drapieżników nadmiernie wzrośnie, wprost przeciwnie, może grozić nadmiernem wyniszczeniem tej zwierzyny.

Są to sprawy zupełnie zrozumiałe dla każdego przyrodnika i myśliwego, tak, że dłużej nad niemi zastanawiać się nie będę. Jako luźną uwagę, chciałbym tylko dorzucić, że na razie strzelanie jakichkolwiek drapieżników w Tatrach uważam za niedopuszczalne. Apelowałbym więc z tego miejsca do Zarządu Dóbr Jaworzyna, aby wstrzymano tam tępienie drapieżników, a w szczególności orłów. Niestety, jak mi to dobrze wiadomo, zaczęto tam chwytać orły na nowo.

Dochodzę wreszcie do sprawy, która miała być głównym tematem niniejszego referatu — do sprawy kłusownictwa.

Zgóry zaznaczyć muszę, że jest to problem ciężki i do przeprowadzenia trudny. Całkowite zlikwidowanie kłusownictwa, tak, by można było być pewnym, że w Tatrach nie padnie ani jeden strzał do zwierzyny z ręki niepowołanej, nastąpi nieprędko. Za dużą żyłkę mają górale do kłusownictwa, zbyt głęboko wrosło ono w ich tradycję. Pozatem kłusownicy tatrzańscy nie rekrutują się jedynie tylko z pośród górali. Grają tu również swoją rolę elementy napływowe z pośród robotników, a nawet, niestety, z pośród turystów.



Z Tatr. Łania. Fot. A. Krzeptowski.

Z pełną satysfakcją zaznaczyć muszę, że po polskiej stronie sprawa kłusownictwa przedstawia się obecnie zupełnie poprawnie, jakkolwiek do niedawna było zupełnie inaczej. Przed kilku laty łowiectwo w Tatrach polskich było zupełnie zaniedbane. Że zaś zaniedbanie to przyszło bezpośrednio po rozprzężeniu wojennem, gdy uciekinierzy z wojska austrjackiego wystrzelali prawie zupełnie zwierzynę w Tatrach, więc zwierzostan przedstawiał się zupełnie beznadziejnie. Kłusownictwo było niemal zupełnie oficjalne. Jeszcze w roku 1925 (patrz wydawnictwo „Ochrona Przyrody", Zeszyt 5, Kraków 1925), zastanawia-

jąc się nad ochroną przyrody w Tatrach, pisałem na ten temat co następuje: „Nie wiem, czy obecnie na terenach Rzeczypospolitej znajduje się gdzie taki zakątek kraju,w którym plaga ta byłaby w tak wysokim stopniu rozwinięta, i co gorsze, tolerowana, zarówno przez społeczeństwo, jak i przez przedstawicieli władzy. Wszak tu, w Zakopanem, wiadomi są dokładnie z imienia i nazwiska, wszyscy kłusownicy, wiadomem jest, gdzie i kiedy który poluje i co zabił. Kozicę, czy świstaka, można sobie obstalować, i obstalunek nie zawiedzie; jest to tylko kwestja czasu i ceny. Wie o tem Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, wie o tem Sekcja Ochrony Tatr Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, wiedzą Zarządy Dóbr, wie starostwo i wszyscy są bezsilni. I jest to zupełnie naturalne, bo na kłusownictwo nie pomogą ani specjalne ustawy, ani uchwały, odezwy, ani nawet ochotnicza straż górska. Tu prawo, jak wszędzie zresztą, będzie miało wartość tylko wtenczas, gdy będzie poparte autorytetem siły. Kłusownictwo w Tatrach trzeba zlikwidować i można zlikwidować ale nie w ten sposób, jak się to robi obecnie".

Dziś stosunki zmieniły się radykalnie, a to mianowicie dzięki Fundacji Kórnickiej, która sprawę łowiectwa w Tatrach ujęła w swoje ręce. Gdy sprawę gospodarki łowieckiej w Tatrach mnie powierzono, przedewszystkiem całą energję włożyłem w zwalczenie kłusownictwa. Zaraz w początkach, w przeciągu kilku dni, przy pomocy policji, odebrałem 10 sztuk broni. Udało się to dzięki akcji szybkiej, energicznej, bezwzględnej. Na kłusowników padł popłoch. Przejście bowiem od zupełnej tolerancji do bezwzględnego tępienia było tak gwałtowne.

Na 5 strzelców, których utrzymuje Fundacja do ochrony zwierzyny, wziąłem 5 najwybitniejszych kłusowników. Kłusownictwo ustało odrazu. Ci sami kłusownicy, którzy początkowo odgrażali się zemstą, prosili się w kilka tygodni później na strzelców. Tych naturalnie, do służby nie wziąłem. Przychodzili później z propozycjami sprzedaży broni, — wyśmiałem. Wypowiedziaełm walkę bezwzględną. Za wykrycie kłusownictwa naznaczyłem nagrody dochodzące do 300 złotych.

Kłusownictwo ustało odrazu. Przez dwa lata było w polskich Tatrach cicho, dopiero w roku bieżącym, na jesieni, nastąpiły próby kłusowania, które jednak dla kłusowników skończyły się fatalnie.

Rezultaty tej walki z kłusownictwem? Łatwe były do przewidzenia. Dość powiedzieć, że gdy w roku 1926 kozica na polskiej stronie należała do zjawisk zupełnie wyjątkowych, to obecnie można widywać ją tutaj, nie mówiąc już o pojedyńczych sztukach w kierdlach po kilkanaście sztuk. W ciągu jednego dnia można się spotkać w polskich Tatrach z dwudziestu kilku kozicami. Po części są to, naturalnie, sztuki przechodnie. Zawdzięczamy je tak idealnemu sąsiedztwu, jakim jest rewir łowiecki Jaworzyna.

Jeszcze lepiej ma się sprawa z jeleniami. W roku 1926 jeleń był w Tatrach polskich bardzo rzadki. W roku 1927 ryczał jeden byk. W roku bieżącym ryczało już 9 byków, a ilość jeleni w rewirach dóbr Zakopane, obliczam na przeszło 70 sztuk. Największej poprawie uległ jednak stan sarn.

Przechodząc do Czecho - Słowacji, stwierdzić muszę, że w Jaworzynie sprawa ochrony zwierzyny przedstawia się doskonale. Natomiast prawdziwą bolączkę przedstawia obecnie gospodarka łowiecka w dobrach rządowych. Cała ogromna połać gór, położona wzdłuż dolin: Kamienistej, Cichej, Koprowej, Ciemnych Smereczyn i Hlińskiej, jest zupełnie pod względem łowieckim zaniedbana. Nikt tam nie pilnuje. I ta to partja gór stanowi dla naszych kłusowników prawdziwe Eldorado. Wciąż słychać tam strzały. Jesienią tego roku, przez kilka dni, polowała tam banda naszych kłusowników, złożona z 5 ludzi. Musieliśmy z naszej strony, z grani patrzeć na to, nic nie mogąc poradzić. Pozostawała zasadzka na powracających. Niestety, nie udała się ona. Po wymianie strzałów z naszymi strzelcami, kłusownicy uciekli zpowrotem na czecho - słowacką stronę.



Z Tatr. Kozica. Fot. A. Krzeptowski.

Tu muszę zwrócić uwagę panów delegatów czechosłowackich na przykry fakt, który miał miejsce w roku ubiegłym. Gdy jeden z naszych strzelców, w pogoni za kłusownikiem, udał się na czecho - słowacką stronę, został tam zaaresztowany, a następnie rozbrojony przez żandarmów. Szykanowano go i osadzono w areszcie. A wszak występował on właśnie w interesach Czecho - Słowacji i dla tych interesów narażał się na niebezpieczną walkę z kłusownikami. Obecnie więc, zrażeni tym faktem, musimy spokojnie patrzeć, jak po południowej stronie Tatr kłusownicy grasują bezkarnie. Te rzeczy muszą uledz zmianie; trzeba je jakoś uregulować na podstawie wzajemnego porozumienia.

Do walki z kłusownictwem musimy pójść razem, inaczej, nic nie zrobimy. Jak jednak wyobrażam sobie walkę z kłusownictwem w Tatrach? Otóż, jak to wynika z tego, co powiedziałem uprzednio, przedewszystkiem w zorganizowaniu odpowiedniej ilości straży łowieckiej. Na razie, dopóki kłusownictwo nie zostanie całkowicie opanowane, ilość strzelców musi być stosunkowo duża. Jeden strzelec winien mieć przeciętnie obwód o powierzchni tysiąca hektarów. Naturalnie, powierzchni tej nie należy obserwować dokładnie. W pewnych razach obwody te mogą być znacznie większe, w innych muszą być nawet mniejsze.

Gdy całe Tatry pokryje się siecią takiej straży łowieckiej, odpowiednio dobranej, pewnej i dobrze zorganizowanej, kłusownictwo ustanie odrazu na całej przestrzeni Tatr, a ilość zwierzyny z roku na rok zacznie wzrastać wybitnie.

Strzelcy ci, na podstawie wzajemnego porozumienia się właścicieli, czy dzierżawców rewirów łowieckich, muszą mieć możność ścigania kłusowników nie tylko we własnych rewirach, ale również i w sąsiednich. Muszą oni mieć możność przechodzenia z bronią w ręku granicy, w każdej chwili i w każdem miejscu. Inaczej kłusownicy zawsze będą im uciekać za granicę państwa. Zarządzający łowiectwem w Polsce i Czecho-Słowacji, powinni się z sobą komunikować możliwie najczęściej, udzielając sobie nawzajem informacyj zarówno co do kłusownictwa, jak i wogóle wszelkich szczegółów, dotyczących zwierzostanu.

W niniejszym referacie zajmowałem się tylko Tatrami. W całych naszych górach panują pod tym względem warunki bardzo podobne, tak, że omawianie oddzielnie spraw dotyczących Beskidów, uważam za zbędne. Podkreślę więc tylko, że kłusownictwo w Karpatach wschodnich szerzy się w sposób zastraszający i że walka z niem jest tam, ze względu na ogromne obszary dzikich, pierwotnych gór, bodaj nie mniej trudna niż w Tatrach, i tak samo wymaga porozumienia państw granicznych. Szczególnie te części gór, które są położone na pograniczu Rumunji, narażone są specjalnie na kłusownictwo. Tam całe bandy, złożone z większej ilości kłusowników, przechodzą na polskie terytorjum i siłą odpierają wszelką akcję w stosunku do siebie, ba, nawet z zasady ostrzeliwują każdego napotkanego przez się człowieka.

Kończąc, pozwolę sobie przedstawić panom kilka



Z bażantarni p. Franciszka Gniazdowskiego w Warpalicach pod Rypinem. Fot. Jerzy Prądzyński.

konkretnych wniosków, dotyczących hodowli zwierzyny na terenie Parku Narodowego w Tatrach i walki z kłusownictwem.

Akcję tę można i należy wszcząć już zaraz. Na razie, sądzę, że dobrzeby było, gdyby co jakieś dwa tygodnie zjeżdżali się kierownicy łowiectwa: rządowych dóbr Czecho - Słowacji w Tatrach, dóbr Jaworzyna i dóbr Zakopane. Te zebrania mogłyby się odbywać kolejno w każdym z trzech rewirów. Niewątpliwie ta akcja doprowadziłaby do uzgodnienia bardzo wielu poczynań, dotyczących ochrony przyrody w Tatrach, a w walce z kłusownictwem dałaby znakomite rezultaty.

Jestem przekonany, że jeśli akcja walki z kłusownictwem będzie prowadzona w porozumieniu i na całym obszarze Tatr tak intensywnie, jak oddawna jest prowadzona w Jaworzynie, i odniedawna w dobrach Zakopane, to w przeciągu dwu — trzech lat kłusownictwo będzie do tego stopnia opanowane, że mówić się będzie tylko o sporadycznych jego wypadkach.

I. Hodowla zwierzyny w Tatrach winna być prowadzona w ten sposób, by zwierzyna miała, o ile możności, jak najmniej zmienione, naturalne warunki bytowania, a więc:

a) podkarmianie zwierzyny winno się odbywać w granicach możliwości, paszą miejscową;

b) miejsca karmienia nie powinny być zgrupowane, a przeciwnie, winny być rozrzucone na znacznej przestrzeni;

c) zarządy leśne winny dążyć do jaknajintensywniejszego rozsadzania drzew, służących za karmę dla zwierzyny, a przedewszystkiem jarzębiny i osiki;

d) w rewirach, leżących po za granicami parku, winny być sadzone i inne rośliny pastewne, specjal-

nie dla zwierzyny; w granicach parku poletka takie nie powinny być tolerowane.

II. Odstrzał zwierzyny winien być przeprowadzany o tyle tylko, o ile nadmierne ich rozmnożenie postulatów łowiectwa i ochrony przyrody.

III. Tępienie zwierząt drapieżnych powinno być bezwarunkowo i natychmiast przerwane, a w przyszłości odstrzał drapieżników winien być przeprowadzany o tyle tylko, o ile nadmierne ich rozmnożenie może grozić zanikiem innej zwierzyny.

IV. Obie strony, to jest Polska i Czecho - Słowacja zobowiązują się do jaknajenergiczniejszego tępienia kłusownictwa i dążyć będą do tego, by w najbliższym czasie ilość straży łowieckiej była powiększona tak, by na każde 1000 ha wypadał jeden strzelec.

V. Obie strony, to jest Polska i Czecho - Słowacja, dążyć będą do tego, by rewiry łowieckie po każdej stronie zgrupowane zostały jaknajprędzej w jednem ręku.

VI. Należy jaknajintensywniej dążyć do przeprowadzenia umowy, na podstawie której strzelcy, zarówno jednej, jak i drugiej strony, mogliby w każdej chwili i na każdem miejscu przekraczać granicę z bronią w ręku.

VII. W celu uzgodnienia gospodarki łowieckiej w całych Tatrach, a w szczególności w celu intensywniejszego zwalczania kłusownictwa, należy utworzyć stałą komisję, złożoną z kierowników łowiectwa większych rewirów łowieckich w Tatrach. Zebrania tej komisji mają się odbywać przynajmniej raz na dwa tygodnie, kolejno w poszczególnych rewirach.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



Ś. P. WŁADYSŁAW HORODECKI.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

I.

Coraz boleśniej, luźniej się robi na świecie szerokim! Nowa, ciężka utrata dla naszego bractwa myśliwskiego!... Przedwcześnie zgasły na atak sercowy w dalekim Teheranie, nieodżałowanej pamięci Władysław Horodecki, był nietylko dobrym, rzetelnym polakiem, wybitnym architektem, znawcą i miłośnikiem przyrody, dżentelmenem w całem tego słowa znaczeniu, lecz także szczerozłotą duszą myśliwską... zaiste ,,dawnego autoramentu"!

Znałem Go długie, długie lata. Jego przyjaźnią się szczyciłem i rok rocznie uświetniał moje wierzchowieńskie łowiska swoją obecnością. Na walnych polowaniach, cudów dokazywał, — w zachwyt wszystkich wprowadzał zdumiewającą precyzyjnością swych rekordowych strzałów. Nie spotykałem bowiem nikogo, któryby tak bajecznie spokojnie oddawał swe strzały— zawsze z mistrzowskim rezultatem oczywiście. Pamiętam, gdzieś w Wierzchowni, kilka osób z grona zaproszonych, też klasowych strzelb, podczas pędzenia bażantów, zapominając kompletnie o łowach, ,,zeszła się" do stanowiska ś. p. Horodeckiego i do końca naganki delektowała się, już nie strzelaniem, a krótko mówiąc, ,,koncertem" tej sztuki w wykonaniu virtuoza tego, bądź co bądź niełatwego kunsztu. Ale, co się niezawsze zdarza, obok tych zalet Wilhelm-Tell'owskich, ś. p. mój przyjaciel, będąc rdzennie, jak wyżej powiedziałem, duszą myśliwską, rozkoszować się umiał tygodniami całymi absolutną samotnością—czy to na tokach wiosennych, czy na letnich peregrynacjach śród rojstów i mszarników Polesia starego, albo podczas swych wypraw w szarugach smutnej jesieni do ,,pławni" dnieprowskich i kędy Prypeć i Desna wody swe z nurtami ,,Borystenu" łączą...

Posiadał dla tych ekspedycyj specjalny namiot, w którym samotnie z przygodnymi rybakami, czy gajusami, spędzał nieraz po parę i więcej tygodni!...

A nie łatwo Mu się dawały! — owe chwile ukojenia świętego! — Będąc człowiekiem ogromnej pracowitości, obarczony już niejednym obowiązkiem na polu swej zawodowej ,,budowniczej" pracy — rozrywanym, dzięki wysokim, fachowym zaletom przez swych klijentów — jak też trudno było ,,wychylić" Mu się z rodzinnego Kijowa!... Lecz, przywiązanie do matki-przyrody, szlachetna pasja łowiecka — cudów dokazywały!... Rzecz dziwna i godna uwagi!... Zazwyczaj spotykałem dwie kategorje myśliwców: lubiących polować w kompanji miłych, doświadczonych towarzyszy, lub nieco ,,kontemplacyjno-melancholicznego" w tym wypadku zakroju osobników, do których, przyznaję się, nieco i sam należę, — szukają-

cych samotności, kontaktu z ludźmi pierwotnymi — rozmyślań i dumań, odbywanych „solo" — na łonie wszechstworza. Wybitna „preferencja" bywa widoczną zwykle, dla któregoś z tych warunków łowieckich wywczasów. Otóż u ś. p. pana Władysława nie można było nigdy zauważyć żadnej różnicy w nastrojach Jego ducha w tej, albo innej okoliczności. Bywał zarówno pogodny, zrównoważony towarzysko w najliczniejszem, zbiorowem gronie, jakoteż pojedyńczo, marząc przy ognisku kurzenia, na tokach, pławniach dnieprowskich, przełęczach Ałtaju, obszarach Mongolji, dżunglach afrykańskich, szczytach Kaukazu i tajemniczego Tybetu. Dowód to, na ile Jego dusza przyrodnika była związana z intelektem wyrobionego, współczesnego człowieka. Wyrafinowana subtelność towarzyskiej kurtuazji godziła się z potęgą wymogów kultu łowieckiego. A wrodzona dobroć, uprzejmość, zaiste staroświecka, względem otoczenia, nie pozwalały Mu nigdy na zamarkowanie popędu do odosobnienia swej indywidualności — chęci do tak koniecznego nieraz „bain de primitivité"!... Mogło to zrobić przykrość innym, a więc? — precz z samotnością, niech będzie pogodne czoło dla wszystkich! — i na każdem miejscu!...

Podobnego typu „ludzie-dżentelmeni" rzadkimi są, jako białe kruki na tym tu łez padole!... To też należycie odczuwając te właściwości i cechy w swoim ś. p. przyjacielu, — serdecznie Go kochałem, podziwiając nieraz zapas owej żywiołowej niemal równowagi. Nie mówiąc już o tem, że przedwojenne warunki życia neurastynicznego w Rosji, walka o byt, stwarzały nie mało okoliczności, które anielski nawet mogły spaczyć charakter, gruntownie „rozklekotać" nerwy. Ale nie spostrzegało się tego nigdy, co się tam na dnie duszy nieraz działo — „Chi lo sa?", lecz dla kompanów, dla wszystkich, których drogi los skrzyżował z Jego wędrówką doczesną, nie brakowało nigdy ujmującej grzeczności, łaskawego zwrotu, zainteresowania się, częstokroć tak nudnemi, cudzemi troskami. Jednem słowem, harmonja tych zalet u wszystkich wywoływała jednolity okrzyk: „Cóż to za miły, co za kulturalny, co za ciekawy człowiek, ten pan inżynier Horodecki". A ja zawsze dodawałem: „I co za myśliwiec! — „de re et nomine", co za wielbiciel przyrody „de puro grano!".

II.

Jakim autorytetem cieszył się nasz ś. p. kolega pióra, w swych znakomitych artykułach na szpaltach naszego drogiego „Łowca Polskiego", w dziale kinologicznym, w funkcjach swych sędziowskich podczas prób polowych na terenach Wilanowa, urządzanych przez Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich, — wiemy wszyscy doskonale, zarówno jaką szczerą sympatję i uznanie wzbudzał u wszystkich, którzy się z Nim stykali. Ale to rzecz tak naturalna w środowisku wysoce kulturalnem, naszem polskiem!... Inaczej się mają rzeczy, gdy się styka z niesforną rzeszą, pozbawioną wszelkich elementów kurtuazji, z osobnikami swoistego, azjatycko-moskiewskiego formatu!... Podziwiałem nieraz, kiedy to, chciwi do zajęczych czomberków „kompani", nie mówiąc już o ich łapczywości, gdy chodziło o szynki i kotlety poległego dzika lub rogacza na zbiorowych łowach Towarzystwa, tak zwanego prawidłowego (?) polowania w Kijowie, nawet takiego kalibru „sontags-jägry", bezapelacyjnie jednak oddawali się pod sąd ś. p. pana Władysława. Komu się zwierz należy? — czyj pocisk go śmiertelnie zatrzymał?... Gdy kto inny wyrokował! — Boże, ile harmidru, krzyku bywało. Ale kiedy pan Władysław „citus, mutus"! — Sam Władisław opredielił — dieło konczeno (sam rozstrzygnął — rzecz skończona). Czyż to nie najlepszy dowód, jak to kultura ducha „ad aeternum" zwyciężyła i zwyciężać będzie chamstwo wszelkie i potencjonalny, już natenczas bolszewicki obskurantyzm!... We wszelkich innych kwestjach etyki, metod i zwyczajów łowieckich, do Niego się uciekano, On był zawsze wyrocznią! — sądy salomonowe wymierzał, ale, że musiał nieraz ciężko nad swymi nerwami panować, to także więcej niż pewne.

III.

Jako prawdziwy esteta i podówczas człowiek bardzo zamożny — wybudował sobie nadzwyczaj oryginalny dom własny przy ulicy Bankowej w Kijowie. Wewnętrzne ubikacje stanowiły bogate muzeum, składające się z Jego wspaniałych trofeów. Takiej kolekcji wszystkich odmian naszych i przelotnych kaczek, zbioru bataljonów, nie widziałem u nikogo! I z jakim pietyzmem, z jaką ornitologiczną znajomością, wszystko to rozklasyfikowane i pielęgnowane było!... Co się tyczy zewnętrznego wyglądu tego pięknego pałacyku, to krytykowano go bardzo. Nie mówiąc o doskonałem wykończeniu budowniczem — na wzór „Notre-Dame" w Paryżu, gdzie figuruje cały asortyment rozmaitych djabłów, monstrów i innych dziwolągów niesamowitych, tak tu wszystkie kapitele, gzymsy, dachy, ozdobione były przeróżnymi aligatorami, smokami, płazami, jakimiś chyba „pterodaktylami" przedpotopowymi. Nie rozumieli tego poczciwi ludziska, że bujna fantazja artysty, a nie pospolity umysł przeciętnego obywatela, kierowała ręką architekta, tworzącego własną siedzibę! — Quod licet Jovi — non licet bovi". A że Jowiszem, w porównaniu z szarym, tamtejszym tłumem, można było nazwać naszego kolegę, — dwóch zdań być nie może.

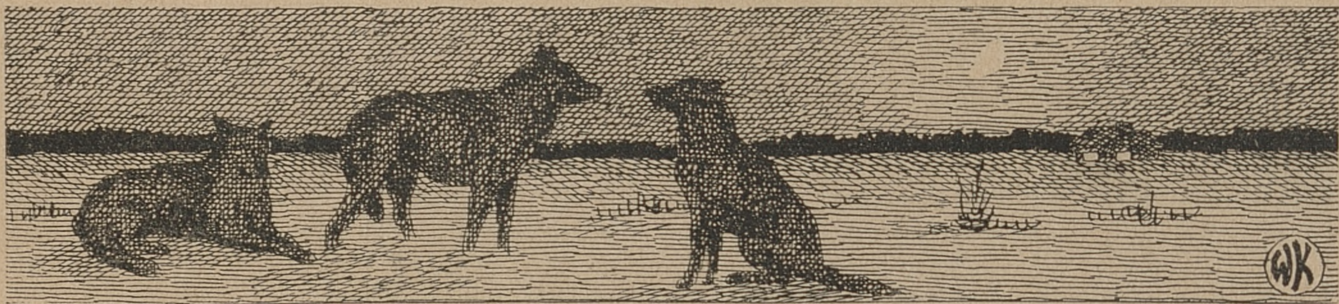


Odpoczynek podczas polowania na 240-letniej sosnie.
Fot. Antoni Stelmaszyk.

IV.

Widziałem Cię tak niedawno, ś. p. panie Władysławie, — przed Twym odjazdem na Wschód Daleki. Czyż przypuszczać mogłem, że kreślić z boleścią tych słów kilka o Tobie mi wypadnie. Kochałeś tak głęboko to piękno przestworza, — kochałeś głuszce na grze i słonkę na ciągu, tygrysa z Bengalji i koziorożca na przełęczach azjatyckich, — zarówno z majestatem drągowin odwiecznych boru Polski ukochanej — stepy i kurhany Ukrainy, naszą krzywdą i krwią płaczące, i trawkę Bożą każdą, i grę słońca na rosie porannej, i wszystko, co estetyką zwie się, — myślistwa miano nosząc. Niech Ci się śni wiecznie cały bezmiar, napięcia psychiki rozkoszy łowieckich. Śród nas nie zamrze nigdy pamięć o Tobie, jako rzetelnej duszy myśliwskiej, człowieka tak wysokich zalet serca, umysłu i niezapomnianej, anielskiej dobroci i łagodności. Śpij, odpoczywaj na obczyźnie dalekiej, niestety, towarzyszu miły nasz!

ADAM RZEWUSKI.



DWA EPIZODY Z DERAŻNEGO.

Rzadka w tym roku ponowa białym całunem spowiła stęsknioną za śniegiem ziemię, gdy rano dnia 11-go lutego wysiedliśmy z żoną z osobowego pociągu w Klewaniu, powracając do domu. Z dobrą wróżbą popędziliśmy znajomym szlakiem. Wokoło pięknie rysował się na tle jasnego nieba stuletni bór rządowy, szumiały nam dalej przepyszne sosny Ołyckiej ordynacji, witała nas zdaleka, kąpiąc się w słońcu, drobna przy wielkich sąsiadach, ale sympatyczna dla oka, a dla zwierza przydatna, własna Derażeńska knieja. O 9-ej stanęliśmy w domu, o 9 i pół odebrałem raport leśniczego: odyniec w „torfach" — i znowu polowanie chwyciło nas w swoje objęcia. Po krótkiem rozejrzeniu się w gospodarstwie w południe pociągnęliśmy do lasu.

Małe ostępy przygotowałem jeszcze w lecie, przecinając linje myśliwskie i znacząc drożyny do tropienia; wyciąłem niepotrzebne haszcze, pozostawiając jeno nietknięte gęste łozy lub bagniste zarośla tak, że mioty mam wyraźne, przesmyki pewne, a przedewszystkiem krótko otropionego zwierza. „Torfy" pod tym względem stanowią jeden z najłatwiejszych zakładów. To też nadzieje były wielkie, szparko biegły konie, a wzrok z lubością padał na las zaśnieżony i na biały kobierzec, gdzieniegdzie poprzecinany wyraźnymi tropy. Przy gajówce kilka zajęcy gęsto poznaczyło, jakby ich tu całe zastępy były, sarny pokrzyżowały wzdłuż i wszerz, przy brodku prosty ślad lisa sznurkiem przeciął łąkę, dwa dzicze tropy znać było w głębszym lesie, a wilki, rzadcy goście, wszędzie pochodziły. Cicho dojechaliśmy do miotu, jeszcze ciszej stanęliśmy z żoną na stanowisku, leśniczy z gajowym (jedyni naganiacze) znikli jak cienie, i znów zamarło wszystko w cichości zaśnieżonego lasu. Miot był gęsty, bagnisty, jak sama nazwa wskazuje. Stałem na wąskiej linji, przecinającej to mokradło, jednak widok przed sobą miałem możliwy w promieniu 20-tu kroków. Po pięciu minutach cicho przesuwające się przez linje sarny dały mi znak, że gon się rozpoczął, a w minutę później dziwnie cicho, posuwistym, długim krokiem, od śniegu biały, z rozstawionemi uszami wysunął się wprost na nas tęgi dzik. Łatwy strzał czasem idzie w parze z największą rozkoszą myśliwską, dając oku wielkie używanie i utrwalając w pamięci późniejsze wspomnienie. Zagrzmiały strzały, — rzucił się w bok po pierwszym, zwalił się z nóg po drugim, a tu już za racice wloką go do linji i następują oględziny. Czy to ten, czy ów — rozważa gajowy, leśniczy ważkie słowo dorzuci, a wrażenie pozostaje miłe, bo choć dzik nie z największych, ale ładnie, składnie wypadło i kły zawisną niezgorsze. Objeżdżamy jeszcze las, — na mróz czerwieni się słońce, sarny do dróg się garną i razem z widzianemi w miocie 21 sztuk naliczamy z sanek. Ostatnie moje słowa napominały baczne śledzenie wilków, bo zdobycz to zawsze ponętna, a w tych lasach — rabuś straszliwy.

Nazajutrz o 10-ej zahuczało we dworze, — 2 wilki zaległy w oczerecie Nr. 3. — Sznury na sanie i jazda do lasu. Miot długi, wąski, tropienie sprawdzone, więc z namaszczeniem bierzemy się do zaciągania fladr, — jedne środkiem łąki na tyczkach stawiamy, drugie na leśnej ścieżynie czepiamy o drzewa, luka 20 metrów szeroka pozostaje otwarta na tropie i po półgodzinnej robocie ze sznurowaniem, stajemy tam w środku z żoną za dubeltową brzozą. Przed nami rozciąga się las młody na bagnie, niezbyt gęsty, dalej ciemni się gęstwina, a bokami czerwone łachmanki trzepocą się w słońcu. Goniło 5 ludzi, dociągali jeszcze flanki tak, że dopiero po półgodzinie huknął zdala umówiony strzał, — ruszyli i zaczęły się emocje.

Wilki były pewne, miot brany na naturalną wagę na otrop, więc spotkanie zdawało się nieuniknione i chwilami już rezultat majaczył przed oczyma. Jednak niezawsze wszystko tak dobrze się kończy. Codziennie polujące, co drugi polowane, trudniejszymi okazały się nasze wołyńskie wilki od cięższych, padłem karmionych, swych północnych pobratymców. Narazie po ruszeniu naganki nic w miocie się nie zmieniło, — słońce oświecało białe brzozy, powiewał lekki wiaterek i dopiero po dobrym kwadransie z trzaskiem przebiegły strwożone sarny z lękiem niezwyczajnym w oczach, ocierając się prawie o nasze drzewa, i znów chwilę trwała cisza. Raptem na sztych pokazał się wilk nieduży, w kolorze ciemny; szedł ostrożnie wprost na nas, — mogłem strzelić zaraz, prowadząc go muszką sztuceru, ale przemogła chęć dopuszczenia go bliżej — dla lepszego widzenia, większej pewności, może dojrzenia drugiego, który, czułem, że się gdzieś z tyłu skradał. Sekundy to były, wzrok wlepiony w zwierza, a dziesiątki myśli przeleciało przez głowę. Przypuściłem za krzak, stojący o 25 kroków od nas, — niech nosa pokaże, huknie strzał i legnie wilk prawie u stóp. Lecz cóż znaczy dziwny, ostry trzask, — nogi podemną się ugięły, a tu już miga tył w galopie. Wpadł w oś drzewa, na 55 kroków wlatuje w krzaki, a za nim kula rozpryskuje się o parę centymetrów pod nim o przyległą brzozę. Krótka nadzieja, że wróci, że drugi się pokaże, ale cofają się oba, uderzają we fladry na łące, odbijają się, ryjąc łapami w śniegu, i z drugiej strony w przyciemnem miejscu przechodzą zdrowo pod sznurami, na to, żeby się oprzeć, jak mi później gajowi opowiadali, o 18 kilometrów dalej w drugim końcu Ołyckiej ordynacji. Stoimy bezradni, tłomaczę omyłkę, — wilk zobaczyć nie mógł, ale wiatr zlekka boczny pewno go na ten dystans przepłoszył, nauka zaś na przyszłość ta, że mając wilki osznurowane na tak pewny przesmyk, nie należało stawać w środku luki między fladrami, tylko z boku przy samym końcu sznura, i wilka przepuszczać przed sobą Naturalnie, można było w tym wypadku ryzykować i strzelić z powodzeniem do idącego na sztych, ale niezawsze robi się to, co trzeba. Stąd cały urok myśliwskiego zawodu, stąd te niespodzianki, co ten urok potęgują, mszcząc się za omyłki i nagradzając rozważne kroki. Po różnych sukcesach i mnie należała się nauka. Inaczej widać św. Hubert zadysponował, jednak wrażenie pozostało silne i... wilki do następnej okazji.

ROMAN POTOCKI



Z polowania na lisy. Fot. Antoni Stelmaszyk

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA ŁOWIECKA W LIPSKU.

Zarząd wystawy „Ipa" rozesłał trojakiego rodzaju blankiety: różowe, żółte i niebieskie, do przyszłych wystawców, którzy mają je wypełniać.

Na każdym blankiecie wydrukowano następujące informacje:

„Wystawiać można:

1. Trofea, na które posiada się dowód, że zostały zdobyte przed 1-ym stycznia 1929 roku. (Uwaga: zastrzeżenie to dotyczy tylko myśliwych z Niemiec; z innych krajów można nadsyłać trofea zdobyte także w przeciągu 1929 roku). Co się tyczy czasu zdobycia trofeów przed rokiem 1929-ym, to co do przeszłości niema żadnego ograniczenia. Pożądane jest jednak nadsyłanie, w miarę możności, tylko takich okazów, które, już to z powodu swych rozmiarów, już z jakiegokolwiek innego, szczególnego powodu, mogą wywołać ogólne zainteresowanie.

2. Trofea zdobyte po za krajem stałego zamieszkania.

3. Zbiory hodowlane i pouczające, z wyłączeniem pochodzących z roku 1929.

4. Całokształt dorocznych wystaw związków myśliwskich z podaniem przeciętnego wieku zwierzyny. (O ile to możliwe, 3 i 4 z dodaniem szczęki dolnej).

5. Wszelkie wieńce i parostki o ile możliwe z dolnymi szczękami. Dolne szczęki samic cechowanych.

6. Wieńce i parostki, oraz inne, przedstawiające wartość łowiecką, okazy znalezione tak w ostatnich czasach, jak i w bardzo odległych.

7. Dawną broń myśliwską, przyrządy łowieckie i do łapania zwierzyny.

Uporządkowanie okazów wystawowych należy *wyłącznie* do kierownictwa wystawy. Odrzucanie nieodpowiednich okazów odbywa się bez podawania przyczyn.

Koszta frachtu i ubezpieczenia (od ognia i kradzieży) ponosi zarząd wystawy.

Wszelkie pisma należy kierować do biura zarządu wystawy łowieckiej: „IPA. Leipzig C 1. Bruehl 70".

Pozatem zgłaszający się podlega ogólnym przepisom wystawowym Ipa na rok 1930.

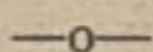
Od wystawców trofeów nie pobiera się opłaty za metraż".

Arkusz niebieski litery „A" nosi nadpis: „Pokaz trofeów" i uwagę: „Każdy arkusz ze zgłoszeniem powinien być używany wyłącznie dla jednego gatunku zwierzyny".

Arkusz zawiera rubryki normalne zapisu okazów, przyczem zaznaczono, że okazy przyjmowane będą do dnia 15 kwietnia.

Arkusz „B" (żółty) przeznaczony jest dla całych kolekcyj hodowlanych i zbiorów wystaw dorocznych ze Związków myśliwskich. Oprócz normalnych rubryk opisowych są jeszcze następujące: Stosunki żerowiskowe, glebowe i stanu zwierzyny. Dążenia hodowlane. Cel odstrzału umyślnego.

Arkusz „C" (różowy) obejmuje: wieńce, parostki, znalezione sztuki czasów nowszych i dawnych do roku 1330 (daty wynalezienia prochu strzelniczego), broń myśliwską, przybory łowieckie i do łapania zwierzyny.



Na zebraniu głównego komitetu wystawy w Lipsku prezes komitetu, p. Paweł Hollender, przedstawił sprawozdanie z robót przygotowawczych. Na posiedzeniu obecni byli zarówno przedstawiciele przemysłu futrzanego, jak i łowiectwa. Stwierdzono ku powszechnemu zadowoleniu, że roboty te prawidłowo postępują naprzód. Udział zarówno miejscowych, jak i zagranicznych wystawców, wzrasta ciągle tak, że wszystkie halle wystawowe, których jest 5, będą całkowicie zapełnione.

Reklama zatacza szerokie kręgi. We wszystkich krajach wiszą plakaty „Ipa" z niebieskim lisem. Prasa całego świata pisze o wystawie. Wobec tego spodziewany jest napływ miljona odwiedzających wystawę.

Narazie halle są zajęte na Targi Lipskie; w połowie marca zaś zostaną oddane do dyspozycji komitetu wystawy.

Dla licznych zwierząt żywych, które nadejdą z różnych krajów, utworzone zostanie coś w rodzaju ogrodu zoologicznego.



Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

PROTOKUŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 17 LUTEGO 1930 R.

Na posiedzeniu byli obecni: pp. płk. Konstanty Chłapowski, mec. Walenty Garczyński, dyr. Bohdan Gędziorowski, Witold Kiltynowicz, inż. Herman Knothe, inż. Kazimierz Tołłoczko, mec. Aleksander Tallen-Wilczewski, Józef Skrzypek; protokuł prowadzili pp.: Jerzy Bokiewicz i Kazimierz Kamieński. Usprawiedliwili swą nieobecność pp.: Stanisław Lilpop, Wacław Szperling, prez. Władysław Słonczyński i inż. Leopold Skulski.

Na przewodniczącego obrad zaproszono p. płk. Chłapowskiego, wiceprezesa Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

Przyjęto do wiadomości i zatwierdzono protokuł posiedzenia Wydziału z dnia 24 stycznia, oraz protokuł posiedzenia Komitetu Organizacyjnego działu łowiectwa polskiego na Wystawie Międzynarodowej w Lipsku, odbytego w dniu 8 lutego w Warszawie. W Łowcu Polskim zamieszczono już odezwy, zachęcające do udziału w wystawie lipskiej. Po otrzymaniu zaś od Wielkopolskiego Związku Myśliwych, który jest w bezpośrednim kontakcie z dyrekcją I. P. A., dokładnych informacyj co do wysyłki zadeklarowanych eksponatów, rozesłane zostaną deklaracje wraz ze wskazówkami.

P. prez. Chłapowski wyraził ubolewanie z tego powodu, że placówki Min. Spr. Zagranicznych Rzeczypospolitej na terenie Niemiec i referat łowiecki w Ministerjum Rolnictwa zbyt małe wykazują zainteresowanie sprawą wystawy lipskiej.

Wielkopolski Związek Myśliwych udział swój w wystawie uzależnia od udziału Towarzystw związkowych z całej Polski. P. Chłapowski dalej uważa za konieczne zamieszczanie artykułów propagandowych na rzecz wystawy w prasie codziennej.

Na skutek zaproszenia przez dyrekcję Międzynarodowej Wystawy przedstawiciela Polski do jury,

Wydział Wykonawczy postanowił z ramienia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich delegować do jury p. płk. Chłapowskiego, na zastępcę jego powołując p. Bronikowskiego.

Specjalną uwagę zwrócił p. Chłapowski na to, że wszelkie koszty, związane z przewozem eksponatów od granicy Rzeszy, jak również asekuracja i metraż na Wystawie, zapewnione zostały przez rząd Rzeszy, eksponenci więc nie ponoszą z tego tytułu żadnych wydatków.

Na wniosek p. Gędziorowskiego postanowiono wystąpić do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Rolnictwa o przyznanie subsydjów na koszty organizacji polskiego działu na Wystawie. W sprawie tej postanowiono prosić pp. Chłapowskiego i Kiltynowicza o zreferowanie prośby o subsydjum i najpilniejszych potrzeb łowiectwa panu Ministrowi Rolnictwa, na audjencji w dn. 18 lutego r. b.

P. inż. Knothe zwrócił uwagę na krótki już termin przygotowań i wystąpił z wnioskim o powiększenie Komitetu Organizacyjnego z powodu wyjazdu p. hr. Potockiego. Z ramienia Wydziału Wykonawczego do Komitetu Organizacyjnego powołano dodatkowo p. W. Kiltynowicza.

Postanowiono jednocześnie prowadzić dalszą akcję ze wzmożoną intensywnością.

Zakwalifikowano do przyjęcia: Dubieńskie Kółko Myśliwskie w Dubnie, Wojskowe Towarzystwo Łowieckie garnizonu Lida, Podlaskie Kółko Myśliwskie w Janowie Podlaskim i Towarzystwo Racjonalnego Polowania w Radzyminie, oraz postanowiono wystąpić do Zarządu Związku z wnioskiem o zaliczenie tychże w poczet Towarzystw związkowych.

Zatwierdzono i postanowiono jednorazowo ogłosić w Łowcu Polskim nominację delegatów powiatowych, których zgłosiły dodatkowo oddziały Związku: Małopolskie Towarzystwo Łowieckie i Wielkopolski Związek Myśliwych.

Wniosek p. Raszewskiego, delegata w pow. Kalisz, o przyznanie funduszu na nagrody dla funkcjonarjuszy państwowych za walkę z kłusownictwem, odłożono do następnego posiedzenia z powodu nieobecności skarbnika Związku, p. Szperlinga.

Na dzień 12 marca postanowiono rozpisać zaproszenia na posiedzenie Zarządu Związku.

Z TOW. ŁOW. WOJEW. WILEŃSKIEGO.

Na ostatniem posiedzeniu zarządu Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego postanowiono prosić wojewodę wileńskiego o zniesienie dodatkowej ochrony dla kozłów, rozszerzenie czasu ochronnego na szaraki i bielaki od 15.I do 31.X, a na kaczory i kaczki do 20.VII, i o niewprowadzanie dodatkowej ochrony na kuropatwy.

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody wileńskiego z dnia 25 lutego 1930 r. o zniesieniu rozszerzonego czasu ochronnego na sarny - kozły, oraz o rozszerzeniu czasu ochronnego na zające (szaraki i bielaki), dzikie kaczory, dzikie kaczki (samice i młode) i inne ptactwo wodne i błotne.

Na podstawie art. 108 punkt 1 a) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 19 stycznia 1928 r. o organizacji i zakresie działania władz administracji ogólnej (Dz. Ust. R. P. Nr. 11 poz. 86) oraz § 1 rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 17 marca 1928 r. o przekazaniu wojewodom niektórych uprawnień Ministra Rolnictwa, wynikających z art. 51 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. Ust. R. P. Nr. 45 poz. 448), zarządzam, co następuje:

§ 1. Ustanowiony w § 1 rozporządzenia mego z dnia 14 listopada 1928 r. (Wil. Dz. Woj. Nr. 12 (95) poz. 796), rozszerzony czas ochronny dla sarn-kozłów — od dnia 1 lutego do dnia 15 czerwca — znosi się.

Zabrania się polować na wyżej wymienioną zwierzynę w czasie ustanowionym w art. 49 prawa łowieckiego, t. j. od dnia 1 lutego do dnia 20 kwietnia włącznie.

§ 2. Ustanowiony w art. 49 prawa łowieckiego czas ochronny dla zajęcy - szaraków — od dnia 1 lutego do dnia 30 września, przedłuża się do dnia 31-go października, zaś termin początkowy tego czasu ochronnego przesuwa się na dzień 15 stycznia.

Zabrania się polować na wyżej wymienioną zwierzynę od dnia 15 stycznia do dnia 31 października włącznie.

§ 3. Termin początkowy ustanowionego w art. 49 prawa łowieckiego czasu ochronnego dla zajęcy-bielaków od dnia 15 lutego do dnia 31 października przesuwa się na dzień 15 stycznia.

Zabrania się polować na wyżej wymienioną zwierzynę od dnia 15 stycznia do dnia 31 października włącznie.

§ 4. Ustanowiony w art. 49 prawa łowieckiego czas ochrony dla dzikich kaczorów — od 1 czerwca do 10 lipca i dla dzikich kaczek (samic i młodych) oraz innego ptactwa wodnego i błotnego — od 1 marca do 10 lipca, przedłuża się do dnia 20 lipca.

Zabrania się polować na dzikie kaczory od 1 czerwca do 20 lipca, a na dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne od 1 marca do 20 lipca.

§ 5. Postanowienie paragrafu poprzedniego nie dotyczy czasu ochronnego na słonki, bataljony oraz dzikie łabędzie i dzikie gęsi, co do których czas ochronny, ustanowiony w art. 49 prawa łowieckiego, pozostaje nienaruszony.

§ 6. Z chwilą wejścia w życie niniejszego rozporządzenia, tracą moc obowiązującą: rozporządzenie moje z dnia 14 listopada 1928 r. o rozszerzeniu czasu ochronnego na sarny - kozły, dzikie kaczory oraz dzikie kaczki (samice i młode) i inne ptactwo wodne i błotne (Wil. Dz. Woj. Nr. 12 (95) poz. 796), oraz rozporządzenie moje z dnia 8 lipca 1929 r. o rozszerzeniu czasu ochronnego na zające (Wil. Dz. Woj. Nr. 7 poz. 695).

§ 7. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia i obowiązuje do dnia 31 października 1931 roku.

Wojewoda WŁ. RACZKIEWICZ.



— **Pierwszy pomiot zajęcy.** — W dniu 24.II r. b. znaleziono w lesie zmarznięte zajączki młode. Należy przypuszczać, iż pierwszy pomiot, jako zawczesny, będzie stracony. —

ST. RUMEL.

— **Pochwała Wielkopolski.** — P. Zygmunt Gronziewicz w obszernej korespondencji, zamieszczonej w „Łowcu" lwowskim, pisze między innemi o Wielkopolsce: „W całem Poznańskiem poszanowanie prawa jest dotąd jeszcze znaczne. Zawód sidełkarzy prawie nieznany. Kłusownictwo w stosunku do Małopolski znacznie mniej rozwinięte. Właściciele i dzierżawcy terenów łowieckich przestrzegają zasad etyki myśliwskiej, — stosowanie wszystkich tez racjonalnej hodowli jest często bardzo wydatne. Wielkopolski Związek Myśliwych, dzięki zapobiegliwości swojego prezesa, p. Konstantego Chłapowskiego i Wydziału, złożonego z bardzo wytrawnych myśliwych, działa energicznie.

— **Wilki.** — W lesie gminnym Jabłonki, pow. liskim, p. Stan. Winiarski stwierdził w połowie stycznia r. b., że wilki urządziły obławę na jelenie i zarżnęły dwie łanie.

— **Walka z kłusownictwem.** — Starosta powiatu krakowskiego, p. Orłowski, rozesłał okólnik do wójtów, w którym zaleca ogłosić publicznie i w szkołach o karach, grożących za kłusownictwo. Dalej okólnik zarządza: Wszyscy zaprzysiężeni strażnicy kultury krajowej i polowi są obowiązani czuwać ściśle nad przestrzeganiem tych przepisów i o każdej porze donosić swej władzy lub policji, lub starostwu o każdym podejrzanym osobniku, trudniącym się kłusownictwem.

Starosta pow. niskiego, p. Skarzyński, rozesłał do posterunków policyjnych okólnik, zalecający jaknajściślejsze śledzenie osób, trudniących się wnykarstwem, truciem zwierzyny i łowieniem zwierząt niedozwolonymi sposobami, oraz badanie pochodzenia skórek u osób trudniących się handlem skór na futra. Chodzi bowiem o to, żeby konfiskować skórki lisie i zajęcze, w których niema śladu dziurek, porobionych przez śrut, gdyż takie skórki pochodzą jedynie z utrutych lisów, lub zajęcy złapanych na wnyki.

— **Nagroda.** — Towarzystwo Łowieckie województwa wileńskiego przekazało do dyspozycji p. starosty brasławskiego 100 zł. na nagrody dla policji za walkę z kłusownictwem.

— **Nowe hodowle zwierząt futerkowych.** — W ostatnich czasach powstało w kraju kilka większych hodowli dzikich zwierząt futerkowych. Hodowle te mają być ośrodkami cennego materjału hodowlanego: lisów srebrzystych, norek, szopów i innych zwierząt, nadających się do hodowli w Polsce. Pozatem powstało kilkanaście mniejszych zakładów, które zapoczątkowały również hodowlę wymienionych zwierząt. Wszystko to wskazuje, iż zainteresowanie tą nową dziedziną produkcji zwierzęcej wzrasta, nie bacząc na wysokie ceny materjału rozpłodowego i duże koszta, związane z urządzeniem tego typu hodowli. Rozwój produkcji i futer szlachetnych w kraju będzie miał poważne znaczenie w bilansie handlowym, wwóz bowiem futer tego rodzaju jest bardzo znaczny i raczej się wzmaga, niż słabnie.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 8 „Łowca Polskiego" pod artykułem „Polowanie na wilki" podpis autora brzmieć powinien: S. Breza.

W Nr. 9 pod fotografją na str. 176 podpis powinien brzmieć: Jan Bończa Markowski.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktorzy przyjmują w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**



MYŚLIWI!

Odwiedzajcie i prześlijcie eksponaty na

Międzynarodową Wystawę Myśliwską

która odbędzie się w LIPSKU

MAJ—WRZESIEŃ 1930 r. w połączeniu z

Międzynarodową Wystawą Futer

Na największym niemieckim terenie wystawowym przestrzeni 400.000 m² oddane są do dyspozycji działu myśliwskiego dwie duże hale. W halach tych wystawione są eksponaty Międzynarodowej Wystawy Myśliwskiej oraz Niemieckiej Wystawy Myśliwskiej. Wystawy te bogato ilustrują historję myślistwa, zawierają pokaz trofeów o niebywałych dotychczas rozmiarach; w ramach tych odbędzie się pozatem specjalna wystawa „Zwierzęta, na które się poluje, w sztuce". Specjalną uwagę poświęcono zadaniu myśliwych jako opiekunów zwierzyny oraz gospodarczemu znaczeniu polowań.

W dziale „Przybory myśliwskie" wystawia przemysł amunicji i broni, optyki i pokrewnych gałęzi. Na wolnej przestrzeni w parku umieszczone są główne okazy żywych zwierząt futerkowych całego świata. Wielkomiejski park zabaw oraz kinoteatr dostarczają zwiedzającym wypoczynku oraz różnorakich pouczających rozrywek. Wykazanie ścisłego związku między myślistwem a przemysłem futrzanym jest celem Międzynarodowej Wystawy Futer. Wystawa ta, mieszcząca się w dalszych trzech halach, wywiera imponujące wrażenie.

Wszelkich informacji udziela chętnie

I P A Leipzig C I. Brühl 70. Abteilung: Jagd.



ZAWSZE I WSZĘDZIE
NIEZBĘDNY JEST

MAŁY REMINGTON

Najlżejsza, najwygodniejsza z przenośnych maszyn do pisania.

Posiada wygodną podstawę, dzięki czemu można łatwo pisać we wszelkich warunkach, nawet trzymając maszynę na kolanach.

Jednocześnie z oryginałem wypisuje dowolną ilość dokładnych i wyraźnych kopji.

Tow. BLOCK-BRUN, Sp. Akc.

Warszawa — Hotel Bristol

Oddziały: Katowice, Kraków, Lwów, Łódź, Poznań, Wilno, Gdańsk

Testament zająca.

„Nie - dzielny" myśliwy wycelował w nagnanego na niego zająca, przyczem odezwał się do obok stojącego leśniczego:

— Oho, niech już zamawia testament.

Tymczasem — pudło. Zając poleciał. A leśniczy na to:

— Niech się pan pocieszy. On poleciał pewnie do rejenta.

Ogon psa.

Karolek lubi się bawić z psem. Gdy raz, podczas takiej zabawy, pies żałośnie piszczał, ojciec Karolka powiedział:

— Moje dziecko, już ci parę razy mówiłem, żebyś nie ciągnął psa za ogon.

— Ja też nie ciągnę psa, ja tylko trzymam ogon, a pies sam ciągnie.

Mądry pies.

— A powiadam panu, jakiego psa miał hr. Filip! Dość powiedzieć: mądrzejszy był od swego pana.

— Wierzę na słowo. Właśnie takiego psa sam miałem...

Tarcza strzelnicza.

Z aforyzmów pani de Stael: Niepowodzenie to tarcza strzelnicza, w którą godzą przyjaciele.

SKŁAD KRYSZTAŁÓW, PORCELANY i MAJOLIKI

oraz własna Malarnia na porcelanie

T. Z. OSIŃSKI

W WARSZAWIE, UL. MARSZAŁKOWSKA 142. TELEFON NR. 28-81.



UWAGA!!!

Duży wybór serwisów stołowych porcelanowych stale na składzie.

JAKÓB MAREK

MAGAZYN OBUWIA

Warszawa, Bielańska 22

Telefon 18-05

ROK ZAŁOŻENIA 1869

POLECA

BUTY MYŚLIWSKIE



OD PÓŁ WIEKU POWSZECHNIE ZNANY ZE SKUTECZNOŚCI

ARAGO ST. GÓRSKIEGO

NISZCZY BRODAWKI SKÓRY STWARDNIENIA ODCISKI

POT NÓG, RĄK, PACH PO 1 UŻYCIU USUWA EKSIKANS ST. GÓRSKIEGO

G R Y F O N,

doskonały górny wiatr, poszukuje towarzyszki.
Warszawa, Sienna 33, m. 15.



CENTRALA HODOWLANA

SP. Z O. O.

ul. Mazowiecka 8, tel. 414-30,

POLECA: różne zwierzęta pokojowe: psy, koty, małpy, ptaki ozdobne i śpiewające, rybki i wszelkie akcesorja i pokarmy, **suchary Spratta i t. d.** **Polecamy dział wypychania zwierząt** po cenach konkurencyjnych, przez najlepszego preparatora w Polsce.

NOWO-ZBUDOWANA

WARSZAWSKA FABRYKA AMUNICJI

WARSZAWA, Targówek, Tykocińska 33.

POLECA P.P. MYŚLIWYM

NABOJE ŚRUTOWE

W NAJWYŻSZYM GATUNKU
CAŁKOWICIE W KRAJU WYKONANE

w gilzach czerwonych z miedzianym kapiszonem GEVELOT, niedającym rdzy, z prochem bezdymnym ROTTWEIL i z twardym śrutem.

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH LEPSZYCH SKŁADACH BRONI.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.